№. 10. 9. Marca 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

O Kozakach.

Od czasu pojawienia się na widowni świata ludu zbrojnego, którego początkowo historycy nie nazywali bynajmniej ludem, lecz raczej uważali go za zgraję łupieżników, toż później wspominają o nim jako o rycerstwie kozackiém, dalej już jako o osadnikach i gminach zbrojnych mających osobne swoje prawa, obyczaje, zwyczaje, a następnie jako o czerni kozackiej — mamy dziwne i szczególnie zajmujące o *Kozakach* podania. Jakoż według ścisłości historycznej nie można by ich obejmować właściwą nazwą ludu, gdyż w tej mierze zachodzi właśnie taki sam stosunek, jaki jest względem Franków, Wandalów, Lachów i Luzaków, którym się również nazwa ludów w ścisłem znaczeniu tego słowa nieprzynależy, — z tą tylko różnicą, że początki i urządzenie wspomnionych wojowników i zdobywców, mniej dokładnie są znane. Wszelakoż i Kozaków najdawniejsze początki nie są potąd wyświecone, chociaż zresztą o stopniowym ich wzroście mamy dokładniejsze podania. Chcąc początki te zbadać należycie, musielibyśmy szukać wątku ich w wiekach zamierzchłych, przedchrześcijańskich, a bezwątpienia nawet w wiekach poprzedzających o wiele historją Rzymian. Nie przeto iżby były pewniejsze jakie ślady historyczne o istnieniu Kozaków, jako *takich*, lecz znajdują się inne, mogące pochodzenie ich mniej więcej zasadnie wykazać. Wszystkie bowiem hierarchje wojskowe wychodziły z łona narodów i ludów w pewnych granicach osiadłych i rozmnożonych, i przybierały według właściwego każdemu uobyczajenia, tudzież wewnętrznych i zewnętrznych stosunków odpowiedny tymże kształt i urządzenie swoje, i odgrywali na świecie rozmaicie swe role. Pojawienie się przeto i czyny ich nie były nigdy przypadkowe, chociaż zresztą czasami tylko przelotne, przemijające bez dalszych widocznych następności. Zawiązek ich więc znajdował się wszędzie w łonie narodów, a pojawienie się każdej hierarchji wojskowej było tylko wynikiem rozwoju ich sił i potęgi, skutkiem wiecznego łańcucha powodujących przyczyn.

Chcąc tedy pochodzenie ludu, z którego Kozacy właściwie wyszli, zbadać, wypadałoby odnieść się do czasów najdawniejszej historji i podań, czerpiąc nadto dla uzasadnienia badań podobnych z objawu ducha i treści życia późniejszych pokoleń. W danym tu razie pokazałoby się, że wiadomość historyczna o dawnych Samotrokach i podania o tak zwanych Amazonach, musiałyby wejść koniecznie w zakres historycznych tych badań. O Amazonach mianowicie tak dalece, jak to ze stosunków ich z dawnymi Samotrokami samo przez się wynika, gdyż te z późniejszymi daleko Kozakami nie miały nic wspólnego. Samo ich imie nawet wcześnie zgłuchło, i tylko w pismach jeszcze się znachodzi. Nazwa ta nie była właściwa, lecz pochwycona tylko przez obcych, choć zresztą widocznie słowiańska i słowiańskim dziewicom nadana.

Nie myśląc się jednak rozpierać o pochodzenie i początki Kozaków, przystępuję do właściwego pytania względem pochodzenia ich nazwy, pod którą późniejsza historja o nich wspomina.

Powszechnie w historji przyjęte jest zdanie, jakoby nazwa „Kozak" była pochodzenia tatarskiego; dowodem tego zaś ma być ta okoliczność, że w tatarskim języku rozumieją pod nazwą kozak *wolnego człowieka*. Niedowiedziono tylko, czy nazwa ta jest źródłosłowem tatarskim i wewnętrzne ich stosunki cechująca, lub początkowo zewnątrz przyjęta,

a następnie w odnośnem używana znaczeniu? Oddawny zresztą jużto rak w uczonym świecie słowiańskim, że pochodzenia przebrzmiałych lub zastarzałych słów w słowiańskiej mowie albo w jej którejkolwiek narzeczu starano się wyprowadzać, przedewszystkiém z greckiego lub łacińskiego, mijając bezwzględnie źródła słowiańskie. I przyznać trzeba, że usiłowania te powiodły się naraz nad wszelkie spodziewanie. Ludy te bowiem przyjmowały od Słowian szczególne wyrazy i zastósowywały je do ogólnych swych pojęć o tej lub owej rzeczy. Lecz, że w pismach ich podobny znajdował się wyraz a dawne słowiańskie poszły w zatracenie, tedy narzucający się słowianszczyznie obcy uczeni i nieuczeni pisarze, nieznając mowy słowiańskiej, a tém mniej ducha jej, nie wahali się bynajmniej zrobić ją dłużniczką własnych jej dłużników. Za obcymi pisarzami poszli i krajowi obcą przesiąknąwszy nauką. Toż nie dziw, że nieznając lub mniej sobie ważąc ducha słowiańskiego i mowy własnego swego narodu, nie mieli nad wyznanie swych mistrzów innego wyznania, i sami w końcu doprowadzili do tego mistrzowstwa, że już i Tatarów przyjęli za cywilizatorów szczepów słowiańskich, jakby i tak już niedość sąsiadów usłużnych przyznawało się do tego!

Lud tak waleczny, tak w pieśniach swych rzewny i pojętny jak ten, z którego wyszli Kozacy, niemiałżeby mieć tyle zdolności umysłowych i żadnej moralnej pobudki, iżby nazwać narodowém swém mianem dzielnego rycerstwa swego, dla którego miał takie sympatje o jakich podobnych (przynajmniej w nowej historji), jako żywo niesłyszano? Toż mu już przyszło szukać go u głównych swych wrogów Tatarów? Zaiste, piękny wymysł! Tymczasem rzecz się ma inaczej, gdyż nazwa *Kozak* jest słowiańska, miejscowa. Wiadomo, że Kozacy mianowicie dnieprowi obierali na letnie swe siedziby niedostępne na Dnieprze ostrowy, czepiali się u wybrzeży morza Czarnego i Kaspijskiego, zkąd czynili liczne na Turków i Tatarów — a dawniej już na Greków, na czajkach wyprawy. Lud okoliczny nazywał od najdawniejszych czasów i potąd nazywa miejsca dawniejszego ich schronienia *kosami*, co w pisemnej polskiej mowie wyraża się niedokładnie przez „przylądek" lub strojem niemieckim (Erdzunge) „język morski." Nadto znachodzi się ogółowa nazwa *kosa* w jeografji i na mapach rosyjskich, i tak np. „Kosa toligolska" przy ujściu jeziora Toligol do Czarnego morza, „Kosa kirnburska" (wystający klinem, tudzież w morze Czarne przylądek,) „Kosa Bohowa" przy ujściu Bohu; w Kaspijskie zaś jezioro wystaje: „Kosa Feodorowa," „Wysarionowa," „Berda" i t. d. Na Dnieprze znajduje się ostrowów czyli kos takich kilkanaście.

Wyraz *kosa* zachował się także i u nas, i ma jak wiadomo dwojakie znaczenie: raz jako warkocz, plecionka włosów, powtóre jako narzędzie gospodarskie do koszenia, i również oznacza właściwy kształt tych rzeczy wybiegający długim ostrokątem.

Lecz nietylko samą już nazwą Kozaków wyprowadzano z tatarskiego; posunięto się jeszcze dalej. W rozprawie np. A. W. Maciejowskiego o kozakach *) — zkąd innąd zresztą godnej zalety, stoi wyraźnie: „Kozacy.... wybierali sobie atamana, czyli koszowego, to jest naczelnika obozu, bo *kossem z tatarska* (!) nazywali ci Kozacy obóz." Toć znów i to słowo słowiańskie koniecznie skradzione Tatarom! Wiadomoby wszakże być powinno, że *kosz, tabor i obóz* **) są lub były jednoznaczące w słowiańszczyznie, a *koszowy* to samo co *obozny*. Miasto Koszyce od niepamiętnych czasów już istnieje, w Serbji potąd nazywa się pewna równina ciągnąca się na parę mil pomiędzy miasteczkiem Sternica a Kluczem czyli zamkiem Klamok, „Pole Koszowo." O Koszyce w teraźniejszych Węgrzech mogli się Tatarowie w pochodach swych opierać, lecz z Serbami nie kumali się podobnie nigdy. A choćby też i tak być mogło, to jednak

*) Tygod. liter. Poznań. 1841.

**) Wiadomość prawdziwego znaczenia tych trzech wyrazów potrzebną jest nawet do historji dawnej słowiańskiej sztuki wojennej, do której napisania może się z czasem kto zabierze. Kosze pleciono ziemią w miejscach gdzie łatwiej było o łozy niż drzewo, jak np. w południowej teraźniejszej Rosyi, itp.; tabory miały w około sadzone pale (palisady). Nazwa *obos* (ob-wóz) jest najpóźniejsza.

bliskoznaczący wyraz włoski „*casa*“ prowadzi do dalszych wywodów. Zaczém prędzej mogli być Kozacy nazwani od koszar (rodzaj chat wyplatanych) lub koszów „Koszaki“ (tak jak czeskich Husytów w pierwszej połowie XV wieku nazwano od ich taborów „Taborytami“) — niż czekać w tej mierze na chrzest tatarski.

O śmieszności i tej nieczułości dla ducha mowy słowiańskiej, z jaką udawano się potąd po wywód licznych nazw słowiańskich do obcych języków z największą dla swego niesprawiedliwością, nie myślę się tutaj rozszerzać. Dokładniej z dawniejszą historją Słowian obeznani i głębiej myślący wiedzą, jak o tém sądzić, dla pokłonników zaś jałowego kronikarstwa i cudzej grzędy nie ma już pono ratunku. Nie wszystka też mądrość i prawda w księgach — więcej jej nierównie u ludu. U niego też wypada zaznajomić się z duchem słowiańskiego języka, a źródła słowiańszczyzny szukać tam — gdzie Boga! Kto zaś Boga szuka po niebie a nie wedle siebie i w sobie, ten go zaprawdę nigdy nie pozna.

S. Kl.

Pobitna pod Rzeszowem.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Nocleg w Brzozowie.

Brzozow, maleńkie miasteczko w ziemi sanockiej do biskupa przemyskiego należące, istnieje pod dzisiejszą nazwą od czasów Kazimierza Wielkiego. — Dawniej zwało się ono Lubową.

Za Kazimierza W. zgorzało co do szczętu, tak, że się mieszkańce jego po świecie rozprószyli. Król niechcąc aby miasteczko w ziemi gdzie i tak miast niewiele, zmarniało, objecał korzystne przywileje nadać tym, którzy-by tam znowu osiedli. — Pierwsi którzy się oto zgłosili, byli dwaj Litwini, Szaynok i Januszkiewicz; król Kaźmierz dotrzymując słowa, wręczył im dla miasteczka wyłączny przywilej kupczenia winem węgierskiém i płótnem. — Taki przywilej na gościńcu węgierskim, żebym wyrzekł u bramy do Polski lubiącej spijać węgierskie maślarze nie mógł być bezowocnym. — Z Köresztúru, Ujhelu, Talji, Patoka, Tokaju i innych miasteczek węgierskich wieźli furmani z Błażowej albo Słowacy ze Spiżu brykami antałki i beczki z winami, śliwy suszone, śliwowice, pikwy i kasztany do Brzozowa, a w zamian wywozili płótna, jagły i polską kontuszówkę. Brzozowianie całe miasteczko podkopali piwnicami, a w starym Szajnoków domu nieraz po 200 i 300 beczek stało na dębowych ligarach, czekając na kupców z Rzeszowa i Sendomirza.

— Owóż u potomka tego Szajnoka, a dobrego swego znajomego, mieli nasi podróżni zanocować. Jako dobrzy znajomi zajechali wprost do sieni, gdzie ich gospodyni domu głośnem: „Witamy! witamy! gości z Rzeszowa,“ przyjęła, i niebawem do izby prosiła.

Pochwaliwszy zbawiciela, jak Bóg przykazał i święty obyczaj, zmoczyli czoła święconą wodą z kropielniczki u drzwi, i weszli do wielkiej izby z alkierzem przepierzonym, i góreczką nad nim. Goście w izbie przy winie siedzący odpowiedzieli „na wieki“, a gospodarz słysząc obcy głos wyszedł z alkierza, gdzie głośne śmiechy i wesołe gadanie niepróżnujących gości zapowiadało.

— A kto tam przyjechał? — odezwał się rubaszny głos z alkierza.

— To z Rzeszowa goście — Bartłomiej Murski i pani Miszczańskiej Marciś, do usług Jaśnie Pana, — odrzekł pokornie Szajnok witając się z nimi.

— Ho, ho, z Rzeszowa Murski, rzeźnik! a choćno tu Bartłomieju, tać my się to dobrze znamy — boś już niejedną parę ciołków odemnie kupił, — zawołał pan Rudnicki, którego okazałej osobie ów głos rubaszny prawem natury należał. A był to szlachcic wielki, otyły, rumiany i wesoły, któryby bez wina był nie wyżył na świecie. Maxyma życia jego była krótka a brzmiała tak: *Hungaricum vinum est opus divinum, dum hilarit mentem reddit sapientem.*

Bartłomiej przystąpił, pan Rudnicki mu na przywitanie nalał szklanicę wina, którą on spełnił duszkiem i dawcę w rękę z sygnetem pocałował. — Podobnie i Marciś uczynił.

— A co tam słychać u was w Rzeszowie, czy już wędzicie ozory i szynki dla konfederatów pana Puławskiego? — Przecie się spodziewam, że sąsiedzi hetmana Branickiego Klemensa nie będą chcieli z Moskalami trzymać i z tym kpem co nam go caryca za króla narzuciła?

— My nic jeszcze tego roku niesłyszeli o konfederakach — odrzekł nieśmiało Bartłomiej.

— A to źle, żeście nie słyszeli, zawołał pan Rudnicki, kiedy Puławski ze swoimi ciągnie, a Zaręba w Piotrkowie z Moskwą wojuje, w czém mu także rzeźnik Morawski a może jaki kum wasz albo krewny dzielnie pomaga.

— Ja tam nie mam żadnego krewnego — odrzekł Bartłomiej, mam tylko brata w Pstrągowej gdzie my oba zrodzeni, ale juścić ani ja ani brat mój nie myślimy z Moskalami trzymać, i podobno całe nasze miasto pójdzie za panem Puławskim.

— Niech żyją rzeszowscy mieszczanie! — zawołał pan Rudnicki, wszyscy goście powtórzyli, i wypili zdrowie Rzeszowa.

Po spełnionem nastąpiło zdrowie Puławskiego i Zaręby, i Morawki jak Moskale Morawskiego w Poznańskiém zwali, i tak szło aż przeszło do ranka, bo dopiero przededniem

pokładli się pokotem na świeżém sianie w wielkiej izbie usłaném, i białemi prześcieradłami poprzykrywaném.

Nim przystąpię do dalszego opowiadania, nie odrzeczy będzie opowiedzieć co o Puławskim.

Tu następuje historya zawiązania konfederacyi w Barze, klęska w Barze i w Podhajcach, oblężenie w Berdyczowie, położenie i dążności polityczne generalicyj na Wołoszczyznie, odłączenie się Puławskich, smierć Józefa Puławskiego (ojca) w więzieniu w Stambule, oblężenie młodych Puławskich w Okopach i Zwańcu, nocna ucieczka i połączenie się ich w Samborze: którą historyę po większej części z niedrukowanych dotąd rękopism Kuropatnickiego i Barszczewskiego czerpaną — dla braku miejsca opuścić musimy.

W Samborze mało się bracia Puławscy sami z sobą nie pobili, nie wiedząc o sobie, i trzymając się nawzajem za wroga, zwłaszcza że Janczarowie z Franciszkiem byli. Tém serdeczniejsze było ich przywitanie. Wytchnąwszy po trudach, skoro skowroneczki polne pod niebo wiosnę głosić zaczęły, umyślili ciągnąć podgórzem od granicy Węgier w Sandomierskie i Krakowskie, aby się połączyć z Zarębą, który sobie w Wielkopolsce szczęśliwie poczynał, i z owemi Marszałkami konfederacyjnemi, którzy pod Muszynką w Sądeckiej ziemi obozem stojąc, uniwersały do koła rozsyłali, żądając dostawy ludzi zbrojnych, i wypłaty podatków skarbowych.

Tak więc rzeczy stały, kiedy Pan Rudnicki z Bartłomiejem, Marcisiem i kilką szlachty, u Szajnoka w Brzozowie na swieżém sianie pokotem nocleg odbywali.

Skoro się dobrze rozwidniło, wstał Bartłomiej i zrobiwszy krzyż swięty zebrał się, i chciał jechać do Jaćmiérza.

— Ho! ho! powoli-no Bartłomieju, poczekaj-no poczekaj, zagadał go Pan Rudnicki, pojedziemy razem; tać i ja muszę być w domu podczas jarmarku, bo się wiele gości spodziewam. Panie gospodarzu, czy pełne puzdro i antałek?

— Pełne jaśnie Panie.

— A no to dobrze — po pieniądze sobie sam przyjedziesz dam ci korzec pszenicy za fatygę.

—Dobrze jasnie Panie, całuję rączki Wielmożnego Pana, odrzekł kłaniając się gospodarz. A Pan Rudnicki mówiąc pacierz po łacinie zebrał się, łyknął sliwowicy, obtarł wąsy, i siadł do kolasy, gdzie puzdro z sobą zabrał. Za nim jechał Bartłomiej a dalej wóz z antałkiem.

V.

Jarmark w Jaćmiérzu.

A znacie wy polskie jarmarki? —

Myślicie że te zbiegowiska szachrajów i zbankrutowanych podpanków chorujących na magnacików, i okpiwających się przy koniach, kartach i nierządnicach, i te klejone niemieckie galanterje, te nibyto francuskie pachnidła i kwaśne pomarańcze z łańcuckiemi cytrynami o dębowej korze, że to są polskie jarmarki? — Jako żywo. —

Polski ludowy jarmark jest wiernym ludu i Polski obrazem. Znajdziesz tam jak w grobie Egipcjanina całe życie jego domowe i pospolite, jak ono się ciągnie, jak się ztyka z ziemią i niebem; znajdziesz go w całym ruchu, w całej pełni i prostocie swojej.

Pierwszą polskiego ludowego jarmarku koniecznością jest— błoto! choćby i do kolan! Tak jak pierwszą koniecznością dla Polski są kłopoty i niedola, w niej i na niej rozwijamy biedne życie nasze. Dalej znajdziesz pokarmu dla ciała i przyodziewkę, jako to: zboża mączne i pożywne, jarzyny, nabiał i owoce, płótna półsetkami, obuwie parami na soszkach porozwieszane, kożuchy baranie czarne i białe swojskiego chowu i kroju, sukmany i pasy kute krakowskie albo szerokie górskie, dalej czapy potężne futrzane lub sukienne futrem podszyte, na wiéchach jak ptactwo wiszące. I dla dzieci twoich znajdziesz: niecki do kąpania i łyżeczki gruszkowe, i piszczałki i rzegotki i pszenne obwarzanki w kobiałkach ogromnych zsypane. Do gospodarki znajdziesz garnki i rynki radgoskie czerwono polewane, i konwie, wanienki, warzechy, maślnice, maglarki i skrzynkę do sieczki, i żarna do chleba i kosę, siekierę, widły i pociask, i wszystko czego ci potrzeba w domu i w stodole. A u kramarzy dostaniesz rożańca, szkaplerza i »kto się w opiekę poda Panu swemu,« i mentalik z Matką Boską Częstochowską, albo malowaną Najświętszą Pannę krolowę nieba i ziemi, a pocieszycielkę strapionych. Znajdziesz to wszystko gdyby księgę otwartą, w któréj spisane życie i obyczaje ludu polskiego, któren do potrzeb głównych liczy: chleb, sól, gorzałkę, słoninę, pas, kożuch, maź i szkaplerz z znakiem imienia zbawiciela, albo Matki jego niepokalanej. Jeżeli ma chleb, szuka soli i gorzałki, dalej myśli o omaście, podjadłszy sobie myśli o zimie i zimnie, lecz niezapomina pasa, a skoro i to ma, myśli o uprzęży, w końcu o Panu Bogu któremu gdyby odczepnego kupuje szkaplerz i klepie niezrozumiane pacierze.

Prócz wymienionych potrzeb ciała i duszy ludu, snuły się jeszcze po jarmarku w Jaćmiérzu zgraje brudnych żydowskich machlerzy i obdartych żebraków, jako reprezentanci niedołężnego rządu; a pomiędzy wozami stało gromadnie tuczne bydło, woły i krowy i byczki z sanockich gór napędzone, a okrągłe jak jabłuszka, za któremi kupcy i rzeźnicy o kilkanaście mil jeździli, za którem i Bartłomiej z Rzeszowa przyjechał.

Wedle zwyczaju chciał Bartłomiej zajechać do sieni któréj, gdzieby i wózek był bespiecznym i kupione bydło przywiązać się dało; ale Pan Rudnicki niedopuścił, wołając by jechał do dwora, gdzie koniom owsa dać każe. Bartłomiej

usłuchał. — Z trzaskiem batów jechali wsród ukłonów mimowolnych ludu pomiędzy wozy chłopskie, ustępujące się choćby i w rów na złamanie osi i karku, i wjechali szczęśliwie na dziedziniec dworski. Tam we dworze zastali drugą jarmarczną ciżbę, ale całkiem innego rodzaju.

Już-to niepodchlebiając szlachcie naszej, a mianowicie uczciwym Sanoczaninom, trzeba przyznać, że nie lubią się tam zjeżdżać gdzie wodę piją i cicho po kątach siedzą. Ale za to proszę sie obejrzeć po dworach gdzie piwnica nie próżna, gospodarz rubaszny, a gospodyni gości przyjmować lubi; tam to życie, tam to radość i wesele bez końca, a byle pieniędzy nie brakło, bez ustanku choćby do sądnego dnia. — Myślicie że płochość charakteru temu pobudką? — Bóg swiadkiem że nie. — Lekkie sumienie, świeże powietrze, i swoboda bez trosk. Od wiecznych prawie czasów nieznano tam wroga, chyba wilka szarego, albo kosmatego bartnika, z któremi wesołą i huczną prowadzono wojnę. Kącik bezpieczny, jak u Boga za piecem, cóż zatém było w nim robić? — Cieszono się, używano darów Boga; a ponieważ się to przez długie wieki bez żadnej przeszkody działo, przyprowadzono sposób cieszenia się i używania darów bożych do wielkiej doskonałości. Gdzież naprzykład na tej kuli ziemskiej, prócz w sanockiej ziemi, doprowadzono pożywanie płynnych darów bożych do takiej (wy myślicie zbyteczności? o nie) do takiej — swobody!

Wjeżdżając w bramę nauczny woźnica potrójnie z bicza trzasnął, jak gdyby chciał zapowiedzieć: „Znajcie, sam pan jedzie," a naręczna klacz licowa szerokiém kołem zatoczyła na skręcie, i parskając stanęła przed gankiem. Pan Rudnicki! pan Rudnicki! — ozwały głosy, szlachta się tłumem wysypała z pokoi, i krzycząc: „Wiwat Marszałek sanockiej ziemi!" — podniosła go na barki i zdziwionego taką niespodzianką wniosła do wielkiej sali.

Na darmo pan Rudnicki protestował gestami w około, niepomogło, obnieśli go w koło stołu wielkiego, na którym krucyfix i dwie jare świéce gorejące stały. Widząc, że tym okrzykom końca nie będzie, podkręcił pan Rudnicki całą prawicą sygnetem ozdobną pomiecistego wąsa, i nadąwszy szeroką pierś, zawołał:

Panowie bracia! proszę o uciszenie się; a zawołał tak potężnie, aż szyby w oknach zadrzały. Jak fale morza lodowatych biegunów, kiedy je odwieczny mróz północny po potopie świata owiał, w mgnieniu oka skostniały niewyrównawszy nawet swej powierzchni i ucichły, tak ruchliwa szlachta na huk głosu swego gospodarza skamieniała milczeniem i stała się cisza, że mak siéj. Panowie bracia! — zaczął dalej p. Rudnicki, proszę o wyjaśnienie tego wszystkiego co to ma znaczyć. „Ostaszewski na stół! na stół Ostaszewski" — zawołały setne głosy, a Ostaszewski, obywatel sanockiej ziemi wyskoczył na stół, wziął podane sobie pismo, i czytał donośnym głosem:

Uniwersał marszałka konfederacyi Województwa sandomirskiego i prześw. ziemi Stężyckiej.

Adam na Paryssach Paryssowie etc. Parys, starościc Winnicki, marszałek konfed. Województwa Sendomirskiego i ziemi Stężyckiej.

Wszem wobec i każdemu z osobna etc., z powinnym każdego status et conditionis uszanowaniem do wiadomości podaję: — W wyrokach prześwietnego Województwa Sendomirskiego i ziemi Stężyckiej (mnie władzę i moc laski marszałkowskiej powierzywszy), niedościgłe woli boskiej czczę przeznaczenie używając tej wszechmocności, aby ludowi temu, łączącemu się na obronę praw kościoła swego S. R. K. — i narodowych królestwa naszego — błogosławić i prowadzić go litościwie raczyła. Nie ja was JO. JW. WW. Jmć. panowie bracia prześwietnego Województwa Sendomirskiego i ziemi Stężyckiej obywatele wzywam, ale cnota na was, kościół S. R. K. Synowie! łączcie się bronić matki waszej i t. d. — — —

Mamy już złączone z nami prześw. Województwa i ziem konfederacje, juześmy sobie Marszałkowie poślubili nieodstępność, by tym sposobem wspólny jak najprędszy dać ojczyznie ratunek. Zbliżają się bracia nasi, wielcy mężowie, z konfederacją barską, ciągnie z nimi sprzyjająca potencja, niechajże wprzódy cudza ręka nas nie dźwiga, my nieczułemi stając się. Przybywajcie tedy mężni rycerze Województwa Sendomierskiego i ziemi Stężyckiej JO. JW. WW. MPP. i bracia, a przybywajcie na dzień siódmy miesiąca kwietnia w roku niniejszym na miejsce między Moszenkę i Izby. Bądźcie ozdobą temu tak godnemu Województwu, że dobrowolnie sami na siebie potrzeby konfederacji włożymy. Przybywajcie ochoczo, honor nasz w tém się zamyka, by nas inne Województwa nieczułymi i mniej dotkliwymi nieuznały. Obliguję przytém Województwo całe prześ. Województwo Sendomirskie i ziemię Stężycką na wszelkie obowiązki, wzywam i dopraszam się, zalecając jak najusilniej, aby WW. senatorowie, WW. urzędnicy i wszyscy ziemianie prześw. województwa Sendomirskiego i ziemi Stężyckiej:

1° Z dóbr swoich dziedzicznych jakimkolwiek prawem dzierżanych, tudzież z starostw i wójtostw na wyprawę konną z ról dziesięciu, i każdego wójtostwa similiter jednego konnego żołnierza, w mundurach, to jest: w żupanie popielatym, katance lub kontuszu niebieskim, z wyłogami popielatemi, płaszczem niebieskim, szarawarami także niebieskiemi a popielatemi karwaszami, mitukiem niebieskim, obszlegami popielatemi, czapką z wierzchem niebieskim, białym barankiem, tatarską robotą, na koniu dobrym, choć niezbytnie młodym, byle nie kaleką, z moderunkiem pewnym, to jest: parą pistoletów, karabinem lub sztućcem, pałaszem i ładownicą, ludzi pewnych i śmiałych, zdrowych, silnych i trzeźwych, niezawodnych i niezbiegłych, z których gdyby uszedł który z wojska lub z okazji z nieprzyjacielem, a nie cofnął się nazad do wojska wypraw Województwa Sendomirskiego i ziemi Stężyckiej, drugiego ze wszystkim jako wyżej, na miejsce zbiegłego

nieodwłocznie odesłać pod wojskową animadwersją zalecam i obowiązuję i t. d.

— Niech żyją Sendomierzanie i Stężyczanie! — zagrzmiał pan Rudnicki, a za nim jednogłośnie wszystka zgromadzona szlachta, a pan Ostaszewski prowadził rzecz dalej:

— Niemniej prawi, i ojczyznę naszą miłujący synowie, jak bracia nasi Stężyczanie i Sendomierzanie, my obywatele prześw. ziemi Sanockiej nie damy się uprzedzić w obronie wiary świętej, którą ojcowie nasi od wieków bronili, wolności naszej i praw swobodnie od przodków naszych ustanowionych, a teraz haniebnie od wrogów znieważonych i deptanych. Cała prześw. ziemia nasza niechaj powstaje jako jeden mąż, każden prawy Sanoczanin niechaj na koń wsiada, i niechaj się wylaniem krwi swej szlacheckiej manifestuje przeciw zgwałceniu swobód swoich, i niech ściąga sprawiedliwość i sąd na sąsiedzką najezdniczą potencję.

Ciebie godny mężu! kochany bracie i sąsiedzie nasz, ciebie JW. MPanie Rudnicki, znając twoje incontaminatam fidem et zelum circa libertatem et jura antiqua regni, wzywamy, prowadź nas kędy nas głos ojczyzny woła, prowadź na pole bitew i chwały, niech albo dźwigniemy w niędoli i nędzy pogrążoną matkę ojczyznę naszą, albo zginiemy z sławą jak przodkowie nasi, jak wielu z braci naszych zginęło. — Niech żyje JW. p. Rudnicki marszałek ziemi Sanockiej!

Z spokojną uwagą słuchał pan Rudnicki treści słów pana Ostaszewskiego, a po chwili tak odpowiedział:

JO. JW. WW. MPanowie współobywatele prześwietnej ziemi Sanockiej, a kochani bracia i sąsiedzi! — Wdzięcznością przepełnione serce moje na odebraną oznakę zaufania tak wielkiego kochanej braci we mnie położonego, a rzewna łza rosi oko moje. Wielki i ciężki to obowiązek ten, który na słabe barki moje kładziecie; jednakowo mimo nieudolności mojej chętnie bym się go podjął, gdyby..... (Prosimy, prosimy! — zawołali razem) — gdybym był przekonany, że ojczyznie mojej usługę przyniosę. Wszak wiecie bracia, że zeszłego roku, kiedy bracia nasi w Barze obronę ojczyzny poprzysięgli, i z sławą przemocy ustąpić musieli, kiedy Wny Pieniążek *) rotmistrz konfederacji barskiej, sto Węgrów zaciężnych pod Baligrodem zgromadził; w sam dzień ś. Piotra i Pawła, zwoławszy was wielce mi szanownych i miłościwych braci połączyliśmy się z nimi, i przybrawszy do siebie chorągiew w Sanoku na konsystencji będącą, i milicję nadworną JMPana Wojewody Wołyńskiego do JWMPana Bronickiego na urząd regimentarza nam od prześw. generalicji konf. barskiej przysłanego, do Nowegotańca udaliśmy się. Później, kiedy JWM. regimentarz Bronicki zapowiedział okazowanie pod Rymanowem, stanęliśmy albo osobiście albo wyprawą ludzi naszych, i furaże i pieniądze odstawiliśmy. Bóg wielki, ojciec i pan nasz najwyższy, nie dozwolił nam używać owocu poświęcenia naszego. Bo kiedy złączona konfederacja nasza i prześw. Województw Krakowskiego i Sendomirskiego wraz z Krakowem upadła, obalona przemocą i zdradą Appraxyna, kiedy pp. Marszałkowie Czarnocki krak. i Piotr Potocki, Wojewodzic wołyński i Marszałek Sendomirski wzięci w niewolę i do Kijowa zawleczeni, a JW. MPan Bronicki Marszałek sanocki z wielkim trudem i niebezpieczeństwem, ledwie z niewoli uszedł, zasmuciły się serca nasze, ale nie upadły. Myśleliśmy, że pod laską tegoż samego ukochanego Marszałka naszego Bronickiego powtórnie powstaniemy dla obrony ojczyzny, ale wyroki boskie nieomylne, choć niedocieczone, zabrały go nam do wiekuistej chwały swojej, aby wypoczął po tylu gwałtownych wojny i niewoli trudach. Gdyby nie to, nie byliby nas bracia nasi Sendomierzanie uprzedzili w ofierze usług i majątków dla oswobodzenia ojczyzny. Ale tak jak oni zjechawszy się w grodzie ziemi swojej na dniu obwieszczonym, wolną elekcją wedle zwyczaju starodawnego Marszałka sobie obrali, w akta zaciągli i uniwersałem się przed światem manifestowali, tak i nam uczynić wypada.

— Niepotrzeba innych zjazdów! niepotrzeba! odezwało się kilkadziesiąt głosów. Pana Rudnickiego zapraszamy do laski. Prosimy, prosimy, — powtórzyli razem.

W tém z kącika gdzieś odzywa się cienki głos:

— Proszę o głos, mam ważną rzecz.

— Kto taki, kto?

— WMść starosta Ostrzeszowski.

— Pan Stadnicki.

— Prosimy, prosimy.

Pan starosta przedarł się przez ciżbę do środka, i wydobywając z kieszeni pismo, rzekł: Nie jakobym był przeciwnym wyborowi WMPana Rudnickiego, lecz jako człowiek przekonania, że każda elekcja ma swoje prawa i prawidła, zgadzam się z zdaniem Wgo Rudnickiego, i powołuję się na uniwersał JO. ks. Jérzego Marcina Lubomirskiego, regimentarza wdztwa Krak. i księztw Zatora i Oświecimskiego......

— Co nam do książąt, my sobie szlachta równi... — odezwało się kilka głosów.

— Panowie bracia, napomniał pan Rudnicki — pan starosta ma słowo, prosimy dalej.....

— Nie mam wprawdzie oryginalnego uniwersału księcia... zaczął pan starosta Ostrzeszowski...

— Ta cała historja zmyślona, niewierzcie! — zawołał jeden z sąsiadów starosty ciągle się z nim wadzący. Ot! panie starosto, powiedz wyraźnie, że czynisz powtórny reces od konfederacji.

— Ja recedował zeszłego roku w Bełzie, bo pod tym tylko warunkiem uwolnili mnie Moskale, kiedy nas w Krakowie wziętych do Kijowa w jassyr wlekli.

— Ta..ta..tak mo..mo..mo..moi pa..pa..pa..panowie — poświadczył stary poczciwy towarzysz broni i niewoli starosty — pobudzając szlachtę swadą swą jąkliwą do głoś-

*) (*Mss. Oss.* Rękop. Fredry:) — List z Sanoka.

nego śmiechu. Pa.. pa.. pan starosta i ja i jeszcze cz.. cz.. czter.. dzie... dziestu szlachty mu.. mu.. musieliśmy rrrecedować!

— No dobrze dobrze! ale gdzież uniwersał księcia, na który się pan starosta powołuje?

Starosta chciał znowu mówić, ale krzyki: to fałsz! nieprawda! Starosta tchórzem podszyty! i t. d. niedały mu przyjść do słowa.

Mości panowie! żem nie tchórz, pokazałem, bijąc się za kraj i teraz pokażę, bo kpić z siebie nie dam....

Rudnicki obawiając się krwawego ukończenia sprawy — zawołał: Ale MPanowie! pozwólcie niech starosta dokończy... — proszę o uciszenie się!....

Po długiem psykaniu i wołaniu uciszyli się cokolwiek, a p. Stadnicki mówił dalej:

Nie mam wprawdzie oryginalnego Uniwersału, mam jednak list od pewnego zacnego obywatela z pod Dębowca, gdzie książe obozem stoi, wktórym wyraźnie stoi, że książe Jerzy Marcin Lubomirski, regimentarz Województwa Krakowskiego i Sendomirskiego złączonych — oraz Ziemi Sanockiej, wzywa na zjazd konfederacki pod Muszynkę na 12go kwietnia. —

— Zgoda! zgoda! pod Muszynkę, zawołali jedni.

— Niepozwalamy! zawołali drudzy. — Pod Muszynkę! — powtórzyli pierwsi.

— Niech żyje nasz Marszałek Rudnicki! odpowiedzieli drudzy.

— Niepozwalamy!

— Prosiemy!

— Niepozwalamy!

Już się brali do kordów gdy pan Rudnicki zagrzmiał:

— Proszę o uciszenie się! I powtórnie ucichło że mak siej.—

Kiedyśmy roku zeszłego spisywali gwałty i uciemiężenia których ojczyzna nasza doznaje, mimowolnie rzucała ręka pióro i brała się do szabli ale na wroga, nie na siebie. — Panowie bracia, książe Marcin jest regimentarzem nam od Generalicyj nadanym, i jako taki ma prawo rozkazywać. Jeżeli to co wam WMP. Stadnicki mówi, jest prawdą, trzeba nam być posłusznymi. Ja wnoszę, aby posłać gońca pod Dębowiec po instrukcyą co czynić wypada.

— Zgoda! zgoda! zawołali. — Ja pojadę! ja pojadę! —

— Niezgoda! zawołał Stadnicki: Ja sam pojadę a jeżeli przekonam, że miałem słusznie, żądam satysfakcji.

— Zgoda, satysfakcji, zgoda! —zawołało kilkudziesięciu z śmiechem.

— Ja nie żartuję, wołał starosta.

— Żarty na bok, żarty na bok... wołali drudzy drocząc i tak rozgniewanego.

— O tém potém, o tém potém, panowie bracia! zawołał p. Rudnicki, ukończmy wprzód sprawy publiczne. Poczciwy jąkający się przyjaciel starosty i Rudnicki biorąc pośrednictwo na siebie, z wielkim trudem uśmierzyli swawolę i przywrócili chwilową zgodę, poczém Rudnicki rzecz dalej prowadził:

— Panowie bracia! pod Dębowiec niedaleko. Nierozjeżdżajmy się. Co Bóg dał i dom mój posiada, chętnie podzielę z bracmi memi. W miasteczku łatwiejszy zjazd, bo łatwiej się pod dach umieścić. Jeżeli wola Jp. panów wyznaczę posłów do księcia. Jutro będą mogli wrócić a my zaczekajmy.

— Zgoda, zgoda! zawołali.

— A więc wyznaczam M Pana brata Jędrzeja Dobraczyńskiego, towarzysza konfederacji sanockiej, któremu takowa posełka nie nowiną, i któren się nam pewno dobrze sprawi, a za towarzyszy: dwóch obywateli miasta Rzeszowa dobrze mnie z dawna znanych, którzy mi pewno tej prożby nieodmówią.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korespondencja literacka.

Słowackiego Mazeppa.

Z zawstydzeniem i zadziwieniem wziąłem temi dniami do rąk niemieckie tłumaczenie dramatu Słowackiego pod tytułem *Mazeppa*. Toż, pomyślałem sobie, cudzoziemcy lepiej i prędzej potrafili ocenić wartość jego niż my!?

Tłómaczenie to bardzo dobre dowodzi, iż tłómacz zna język nasz dobrze, a Słowackiego może lepiej niż my. Dziwna jest rzecz, iż gieniusze mają zawsze coś wspólnego. Gdy czytamy Kalderona, zdaje się we wielu miejscach, iż Szekspira czytamy i przeciwnie. Tak samo wielki, nowożytny poeta włoski *Manzoni* w dramacie „hrabia Carmagnola" przypomina Leara Szekspirowskiego; Szekspir zakrawa często na Dantego, Ariosta; a Mazeppa Słowackiego jest we wielu miejscach jakby drugi Romeo i Julia, lub Otello.— Mówię tu o dziele, bo charakter Mazeppy samego jest zupełnie nowy, zupełnie inny od tamtych. Mazeppa (osoba), ten młody paź z żywém, gwałtownem uczuciem znamionującém wielkie serce z lekkomyślnością dworaka, zimną reflexją Mefistofela, a uczciwością i szlachetnością pomimo tego że

.... jeszcze mu czuć mleko
pod nosem ....;

może się wydać mdłym i pedanckim krytykastrom przesadny i nienaturalny; tymczasem nie jest to nic innego, jak młodość gieniusz, u którego również wielką jest siła uczucia jak rozumu, a każdy postępek jego z takim wielkim jest czyniony rozmachem, że przeskakuje to wązkie pole życia na którém zmuszony jest obracać się.

Widząc króla zalotnego i tchórza, kasztelanowę starą dworacką intrygantkę i ciekawą, szlachtę rubaszną i pijacką, Wojewodę okrutnego, bez innych uczuć prócz zemsty i zazdrości, może powiedzieć jaki niby-patrjota, że Słowacki wyciąga brudy narodu na scenę.

Przeżyci i przesyceni światowcy powiedzą o dziewiczej

wojewodzinie i również dziewiczym pasierbie jej Zdzisławie, którzy kochają się oboje, ale wzdrygają się wyznać sobie tę miłość, nią się trawią, dla niej i przez nią oboje giną — że to przesadna tkliwo-sentymentalna romantyka.

Nawet dla niby-uczonych, polujących na ortograficzne i gramatyczne błędy, lub estetyków goniących za grzechami przeciw kodeksowi sztywności znajdzie się pole do popisu w krytyce. Mnie się zaś zdaje, że Mazeppa jest również powabnym do czytania jak stosownym do przedstawienia.

Nie waham się opowiedzieć treść jego, bo wiém, że bardzo mało jest znany.

Do „*Wojewody*“ przybywa w gościnę *Król* (Jan Kazimierz) z dworem swoim, w którym się znajduje paź Mazeppa. Na przyjęcie króla sprosił wojewoda wiele gości. Między temi znajduje się p. *Kasztelanowa*, która podług ścisłych zasad ekonomji dramatycznej jest zbyteczną osobą, bo występuje tylko w pierwszym akcie, i w całej z resztą sztuce niema roli. Ale jest ona zręcznie wprowadzona, aby nas zapoznać z głównemi osobami dramatu. P. Kasztelanowa bowiem dworaczka, lubi kojarzyć, splatać i rozplatać miłostki. Zaraz więc na wstępie bada w obojętnej rozmowie *Zbigniewa* (syna wojewody) czy się w kim nie kocha; scena może ma charakter nie zupełnie polski ale historyczny, bo przedstawia nam damę zarażoną już włoską i francuzką cywilizacją, jakich wówczas już między Polkami dosyć było:

— — Masz oczęta co się błyszczą bystrze,
Ale coś trochę mgliste i afekcjonalne,
I cóż to jest waćpanu ... ot w pancerz cię palnę
Wachlarzykiem, i wszystko serduszko wyśpiewa;
Mówże mi co o Włoszech asindziej —

Innym już tonem, zupełnie przypominającym Szekspira lub Kalderona przemawia do Wojewodziny, której piękność a oraz obojętność Zbigniewa dla swojej macochy podziwia:

Cóż to za dzieweczka ? Ze skrzydeł motyla
Trzewiczki ma, na głowie żadnego fiocha,
Trzeba ci było muszek wiosennych nałowić
Oberwać im skrzydełka i upstrzyć twarzyczkę
Zbyt białą, we włosach zatknęłaś rożyczkę
Nadto białą. To jeszcze dziecko niewinne.

Z tego już dowiadujemy się, że Wojewodzina jest bardzo piękna, bardzo młoda, nawet że ma czarne włosy, bo tak sobie trzeba tłómaczyć, że róża w jej włosach nadto się białą wydaje. Dalej jednak wskazuje możliwość miłostki między pasierbem a macochą mówiąc do Zbigniewa:

— — — — — jakże wy z nią razem ?
To dziwne, Waszeć mi się zdajesz zimnym głazem,
Atentujże się Wasze tej młodziutkiej matce.

Widząc jego oziębłość przygotowuje ją na przybycie Mazeppy, mówiąc o nim jako bardzo niebezpiecznym dla serduszek „*złotym sowizrzale.*“ W śród mowy kasztelanowej włazi Mazeppa oknem, bo przy drzwiach zatrzymała szlachta króla z całym dworem, aby wysłuchał „*makaronicznego wiersza którym go przyjmował p. Pasek z powagą papuzą.*“ Zaraz pierwsze spotkanie Mazeppy z Wojewodziną zrobiło na nim wrażenie, o czém się z monologu dowiadujemy:

— ledwiem ją ujrzał, już mi serce taje ...
Już chciałbym albo żyć z nią — albo umrzeć dla niej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Dnia 1go Marca przedstawiono na korzyść pana Smochowskiego dramat pięcioaktowy pod nazwą: *Henryk Walezy i jego dwór.* Sztuka-to obrobiona z francuzkiego podług Dumasa; wystrojona zatem wszelkiemi świecidełkami i effektownościami scenicznemi, jakie praktyka dramaturgji francuzkiej posiada. Lecz też na wystawę pojedyńczych scen, na sciągnienie zajęcia i oczekiwania widzów za pomocą pojedyńczych drażniących sytuacji — spotrzebowanym został cały zapas talentu; na pojęcie i przedstawienie całości jakiejś zadowolniającej — nie stało go zupełnie. Z wielkiej chmury mały dészcz; ze strasźliwych planów Katarzyny Medicis, z niebezpiecznych knowań potężnego księcia de Guise skończyło się na tém, że zabito, bóg wié na co, pazia księżnej, i uduszono hrabiego de St. Maigrin, dworzanina królewskiego, który też i kochał się w księżnie de Guise. Publiczność tym razem srożej była usposobioną i po 5tym akcie, jak niegdyś rzymska, chętnie skinieniem wielkiego palca byłaby dała hasło do dalszych „*zabiłaństw*“; lecz obliczywszy się z aktami, uznała, że *consumatum est*, że się widowisko skończyło. Nie wątpimy, iż pan Smochowski byłby obrał sztukę bardziej pojęciu odpowiednią, gdyby obecne stosunki — i skład sceny tutejszej zezwolił na to. Jak zawsze tak i tego wieczora mieliśmy sposobność widzieć w grze jego dokonaną artystyczność. Nie mniej też panu Rejmersowi za mistrzowskie odegranie roli Walezjusza najzupełniejsze należy się uznanie. Gdyby też nie oni, cóż by się z nami było działo ? — Jedni artyści pomimo całej usilności nie potrafili lub nie umieli z swych ról wydobyć znaczenia, inni zaś nie zadawali sobie nawet żadnej pracy; a to aż do tego stopnia, iż w ich rolach sufler czasem ważniejszą grał rolę, niżeli oni sami. Zaprawdę wielka to grzeczność dla beneficjanta i wielkie względy dla publiczności.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej A. B. Winiarza we Lwowie, przy ulicy krakowskiej p. l. 77.